



JOËL DICKER

Autor nominowany
do Nagrody Goncourtów za powieść
Prawda o sprawie Harry'ego Queberta

**Ostatnie dni
naszych ojców**

1

*Niech wszyscy ojcowie świata, którzy niebawem od nas
odejdą,*

*Dowiedzą się, jak ogromne będzie bez nich nasze
niebezpieczeństwo.*

Nauczyli nas chodzić, lecz chodzić już nie będziemy.

Nauczyli nas mówić, lecz mówić już nie będziemy.

Nauczyli nas żyć, lecz żyć nie będziemy.

*Nauczyli nas, jak stać się Ludźmi, lecz my nawet Ludźmi
już nie będziemy. Nie będziemy już niczym.*

O świcie siedzieli, paląc papierosy i kontemplując czarne niebo tańczące nad Anglią. Pal recytował swój wiersz. Ukryty w środku nocy, myślał o ojcu.

Na pagórku, gdzie się znaleźli, w ciemnościach żarzyły się ogniki papierosów – przyzwyczaili się już przychodzić tam palić wcześniej rano. Palili dla towarzystwa, palili, aby nie przestać istnieć, palili, żeby nie zapomnieć, że są Ludźmi.

Gros, ten otyły, szukał czegoś w krzakach jak wałęsający się pies, postęgując i płosząc myszy polne ukryte w wilgotnej trawie, a Pal złościł się na tego niby-psa:

– Przestań, Gros! Dzisiaj trzeba być smutnym!

Gros przerwał wreszcie po trzech ostrzeżeniach, po czym, naburmuszony jak dziecko, pokrzyżował chwilę wokół siedzących w półkolu dziesięciu sylwetek, aby wreszcie zająć miejsce obok tych milczących, między przygnębionym Grenouille'em i Prunierem, nieszczęsnym jąkałą, który potajemnie kochał słowa.

– O czym myślisz, Pal? – zapytał Gros.

– Myślę o takich rzeczach, które...

– Tylko nie myśl o złych rzeczach, myśl o czymś pięknym.

Grubą i krągłą dłonią Gros poszukał ramienia towarzysza.

Ktoś zawołał do nich z ganku starego dworku, który wznosił się przed nimi. Zaraz miały się zacząć ćwiczenia. Wszyscy pospieszyli w tamtą stronę; Pal siedział jeszcze przez chwilę, wsłuchując się w szmer mgły. Znowu wspominał swój wyjazd z Paryża. Myślał o tym bez przerwy, każdego ranka i każdego wieczoru. Ale zwłaszcza każdego ranka. Dzisiaj mijały dokładnie dwa miesiące, jak stamtąd wyjechał.

A stało się to na początku września, tuż przed tym, jak nastawał jesień. Nie mógł wtedy nic zrobić – trzeba było stanąć w obronie Ludzi, chronić ojców. Chronić ojca, mimo że w ten dzień kilka lat wcześniej, kiedy los odebrał mu matkę, przysiągł, że nigdy go nie zostawi. Dobry syn i samotny wdowiec. Lecz nadeszła wojna, a Pal, decydując się na walkę z bronią w rękę, decydował się także na rozstanie z ojcem. Wiedział o swoim wyjeździe już w sierpniu, ale nie potrafił mu o tym powiedzieć. Stchórzył i dopiero w przeddzień wyjazdu po kolacji zdobył się na odwagę, by się pożegnać.

– Ale dlaczego ty? – zapytał ojciec zdławionym głosem.

– Dlatego, że jeśli to nie będę ja, nie znajdzie się nikt inny.

Z twarzą pełną miłości i cierpienia objął syna, żeby dodać

mu odwagi.

Ojciec zamknął się w pokoju i przez całą noc płakał. Płakał ze smutku, ale uznał też, że jego dwudziestodwuletni syn jest najodważniejszym z dzieci. Pal stał pod jego drzwiami, słuchając, jak szlocha. I nagle tak bardzo znienawidził samego siebie za to, że wywołał łzy u swojego ojca, iż końcem ostrza szczyroyka naciął sobie do krwi skórę na torsie. W lustrze przyjrzał się zranionemu ciału, zwymyślał sam siebie i raz jeszcze rozdrapał ciało w miejscu, gdzie jest serce, żeby upewnić się, że blizna nigdy nie zniknie.

Następnego dnia o świcie ojciec, z rozdartą duszą, przechadzając się w szlafroku po mieszkaniu, zaparzył mu mocną kawę. Pal usiadł przy stole w kuchni, już w butach i kapeluszu, po czym powoli wypił kawę, aby odsunąć choć trochę chwilę wyjazdu. To była najlepsza kawa, jaką kiedykolwiek wypije w swoim życiu.

– Czy wzięłeś ciepłe ubrania? – zapytał ojciec, wskazując na torbę, którą syn miał zaraz zabrać ze sobą.

– Tak.

– Pozwól, że sprawdzę. Potrzebujesz bardzo ciepłych rzeczy, zima będzie mroźna.

Ojciec dorzucił do bagażu jeszcze kilka ubrań, kawałek kiełbasy i sera oraz trochę pieniędzy. Później trzykrotnie najpierw opróżnił, a potem spakował na nowo torbę. „Postaram się to zrobić lepiej”, powtarzał za każdym razem, próbując w ten sposób odwlec w czasie to, co i tak nieuchronnie musiało nastąpić. Kiedy nie miał już nic więcej do zrobienia, owładnęły nim niepokój i rozpacz.

– I co teraz ze mną będzie? – zapytał.

– Ja szybko wrócę.

– Tak bardzo będę się o ciebie bał!

– Nie trzeba...

– Będę się bał każdego dnia!

To prawda, tak długo jak jego syn nie wróci, nie będzie ani jadł, ani spał. Od tej chwili będzie najniezwyklejszym z Ludzi.

– Napiszesz do mnie?

– Oczywiście, tato.

– A ja zawsze będę na ciebie czekał.

Przycisnął mocno syna do siebie.

– Będziesz musiał dalej się kształcić – dodał. – Nauka to ważna rzecz. Gdyby ludzie nie byli tak głupi, nie byłoby wojny.

Pal kiwnął głową.

– Gdyby ludzie nie byli tak głupi, nie doszłoby do tego.

– Tak, tato.

– Włożyłem ci książki do torby.

– Wiem.

– Bo książki to ważna rzecz.

Ojciec chwycił wtedy syna mocno za ramiona w porywie rozpaczliwej wściekłości.

– Obiecuj mi, że nie zginiesz!

– Obiecuję.

Pal wziął torbę do ręki i ucałował ojca. Po raz ostatni. Ale tuż za drzwiami ojciec zatrzymał go jeszcze raz:

– Zaczekaj! Zapomniałeś o kluczu! Jak tutaj wrócisz, jeśli nie będziesz miał klucza?

Pal jednak nie chciał go wziąć – ci, którzy nie wrócą, nie zabierają ze sobą klucza. Aby jednak nie sprawić ojcu przykrości, szepnęła:

– Wolę nie ryzykować, że go zgubię.

Ojciec cały drżał.

– No tak, oczywiście! To byłby kłopot... Bo jak byś wtedy wrócił... Więc popatrz, kładę klucz pod wycieraczkę. Spójrz tylko, chowam go dokładnie tutaj, pod wycieraczkę, widzisz? I zawsze będę tutaj zostawiał klucz, czekając na dzień, w którym wrócisz. – Zamyślił się przez chwilę. – No, a co się stanie, jeśli ktoś go zabierze? Hm... Powiadomię dozorczynię, ona ma zapasowy klucz. Powiem jej, że wyjechałeś, że nie powinna opuszczać dozorcówki, kiedy mnie nie ma w domu. Tak, powiem jej, żeby była bardzo czujna i że dam jej dwa razy wyższy napiwek.

– Nic nie mów dozorczyńni.

– Nic jej nie mówić, oczywiście. Więc nie będę zamykał drzwi na klucz ani w dzień, ani w nocy, ani w ogóle. I w ten sposób nie będzie ryzyka, że nie dostaniesz się do mieszkania, kiedy wrócisz.

Zapadła długa cisza.

– Do widzenia, mój synu – rzekł ojciec.

– Do widzenia, tato – odpowiedział mu syn.

Pal szepnął jeszcze cicho „Kocham cię, tato”, lecz ojciec już tego nie usłyszał.

2

W bezsenne noce Pal wymykał się z sypialni, gdzie jego koledzy wyczerpani całodziennymi ćwiczeniami spali jak zabici. Przechadzał się po lodowatym dworku, do którego wiatr wdzierał się tak, jakby nie było ani drzwi, ani okien. Czuł się jak szkocki duch, on, tułający się Francuz. Przechodził przez kuchnię, jadalnię i wielką bibliotekę. Patrzył na zegarek, potem na zegary i liczył, ile czasu mu jeszcze zostało, zanim pójdzie zapalić papierosa

razem z innymi. Czasami, gdy chciał odsunąć od siebie dręczące myśli, przypominał sobie jakąś zabawną historię, żeby samemu się rozerwać, a jeśli uznał ją za wystarczająco dobrą, zapisywał ją, aby opowiedzieć pozostałym kursantom następnego dnia. Kiedy zaś nie wiedział już, co ze sobą zrobić, obmywał wodą zadrapania i blizny, a do syfonu umywalki wypowiadał swoje imię, Paul-Émile, Pal, jak go tutaj nazywano, bo prawie wszyscy mieli jakiś pseudonim. Nowe życie, a więc i nowe imię.

Wszystko zaczęło się w Paryżu kilka miesięcy wcześniej, kiedy z jednym z przyjaciół, niejakim Marchaux, dwukrotnie namalowali na murze krzyże lotaryńskie. Za pierwszym razem wszystko poszło gładko. Postanowili więc to powtórzyć. Druga wyprawa odbyła się późnym popołudniem. Marchaux stał na czatach w małej uliczce, a Pal malował, lecz kiedy już miał kończyć swoje dzieło, poczuł nagle, że czyjaś ręka łapie go za ramię i usłyszał: „Gestapo!”. Wydawało mu się, że jego serce przestało nagle bić, odwrócił się: jakiś wysoki facet trzymał go mocno jedną ręką, a drugą złapał Marchaux. „Banda żalosnych idiotów – ubliżał im ten mężczyzna – chcecie zdechnąć przez te malowanki? Malowanie niczego nie da!”. Facet nie był z Gestapo. Wprost przeciwnie. Marchaux i Pal zobaczyli go jeszcze dwukrotnie. Trzecie spotkanie odbyło się w maleńkiej salce na zapleczu kawiarni przy rue Batignolles, spotkali wtedy mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widzieli, wyglądał na Anglika. Wy tłumaczył im, że poszukuje odważnych Francuzów gotowych przyłączyć się do walki zbrojnej.

No i wyruszyli w drogę. Pal i Marchaux. Wykorzystując siatkę przerzutową, przez Wolną Strefę i przez Pireneje, przedostali się do Hiszpanii. Marchaux postanowił wtedy udać się do Algierii. Pal z kolei chciał dotrzeć do Londynu. Mówiono,

że wszystko rozgrywa się właśnie tam. Dostał się do Portugalii, a potem samolotem do Anglii. Po przybyciu do Londynu najpierw poddano go obowiązkowym przesłuchaniom w ośrodku w Wandsworth, podobnie jak wszystkich Francuzów, którzy znaleźli się w Wielkiej Brytanii – wraz z tłumem zapłakanych, odważnych, patriotów, komunistów, prostaków, weteranów, zrozpaczonych i idealistów maszerował przed przedstawicielami służb rekrutujących do armii brytyjskiej. Braterska Europa tonęła niczym zbudowany naprędce statek. Wojna trwała już dwa lata, na ulicach i w sercach, i każdy chciał wziąć w niej udział.

W Wandsworth nie przebywał długo. Bardzo szybko skierowano go do Northumberland House, dawnego hotelu usytuowanego niedaleko Trafalgar Square i zarekwirowanego przez Ministerstwo Obrony. Tam, w lodowatym i pustym pomieszczeniu, odbywały się długie spotkania z innym Francuzem, Rogerem Callandem. Rozmowy te trwały kilka dni: Calland, z zawodu psychiatra, zajmował się rekrutacją do *Special Operation Executive*, SOE, Kierownictwa Operacji Specjalnych, brytyjskich tajnych służb, a Pal go zainteresował. Młody człowiek, nie mając pojęcia o tym, jaki czeka go los, jedynie starał się jak najdokładniej wypełnić formularz i odpowiedzieć na pytania, szczęśliwy, że może wnieść choćby niewielki wkład w wysiłek wojenny. Jeśli uznają, że powinien obsługiwać karabin maszynowy, to będzie to robił; ha! ależby świetnie strzelał z wieży pancernej. Gdyby został mechanikiem, dokręcałby śruby tak mocno jak nikt; a gdyby jacyś angielscy mędracy skierowali go w charakterze pomocnika do jakiejś drukarni ulotek propagandowych, nosiłby z entuzjazmem kubły farby drukarskiej.

Już po krótkim czasie Calland uznał jednak, że Pal spełnia warunki, żeby zostać dobrym agentem SOE w terenie. Pal był

spokojnym i dyskretnym chłopcem o łagodnej twarzy, raczej przystojnym, dobrze zbudowanym, a przy tym żarliwym patriotą, nie należał do zapaleńców w gorącej wodzie kąpanych, którzy mogą doprowadzić do zguby całą kompanię, ani też do pogrążonych w rozpacz i zawiedzionych w miłości, którzy chcieli pójść na wojnę, bo pragnęli śmierci. Wystawiał się dobrze, z sensem i żywo, a lekarz słuchał nawet z pewnym rozbawieniem, kiedy Pal wyjaśniał mu, że będzie bardzo się starał w drukarni, ale muszą go najpierw paru rzeczy nauczyć, bo nie zna się za dobrze na drukarstwie, ale lubi pisać wiersze i bardzo się przyłoży, żeby wydawać ładne ulotki, wspaniałe ulotki, które będą zrzucane przy dźwięku fanfar z pokładów bombowców, piloci będą je deklamować z przejęciem w kokpicie, bo ostatecznie pisanie ulotek to przecież również jest prowadzeniem wojny.

Calland zapisał w arkuszu ocen, że młody Pal jest jednym z tych ludzi, którzy nie są świadomi własnej wartości, co sprawia, że skromność staje się jeszcze jedną z ich zalet.



SOE zostało wymyślone przez samego premiera Churchilla po rozpaczliwej ewakuacji Anglików z Dunkierki. Wiedział, że nie będzie mógł bić się z Niemcami, przeciwstawiając im regularną armię, postanowił więc szukać inspiracji w działaniach partyzanckich, by podjąć walkę w głębi terytoriów zajmowanych przez wroga. Pomysł był znakomity: brytyjskie kierownictwo SOE rekrutowało obcokrajowców z okupowanej Europy, szkoliło ich i przygotowywało w Wielkiej Brytanii, a potem wysyłało do macierzystego kraju, gdzie wtapiali się w miejscową ludność i prowadzili tajne operacje na tyłach wroga: wywiad, sabotaż, zamachy, propaganda i tworzenie struktur ruchu oporu.

Po zakończeniu weryfikacji w zakresie bezpieczeństwa Calland zdecydował się poruszyć z Palem temat SOE. Było to pod koniec trzeciego dnia w Northumberland House.

– Czy byłbyś gotów prowadzić tajne misje we Francji? – zapytał go lekarz.

Serce młodego mężczyzny zaczęło szybciej bić.

– Ale co to za misja?

– Wojna.

– Czy to niebezpieczne?

– Bardzo.

Następnie tonem ojcowskiej poufałości Calland bardzo ogólnie wyjaśnił, czym jest SOE, w każdym razie na tyle, na ile mógł to ujawnić zza mgły tajemnic spowijającej formację, gdyż trzeba było, aby chłopak uchwycił wagę tej propozycji. Nie zrozumiawszy wszystkiego, Pal zrozumiał, o co chodzi.

– Nie wiem, czy będę się do tego nadawał – odparł.

Zbladł, bo wyobrażał sobie siebie jako pogwizdującego mechanika, podśpiewującego zecera, a tymczasem proponowano mu półśłówkami wstąpienie do tajnych służb.

– Zostawię ci trochę czasu do namysłu – powiedział Calland.

– Oczywiście, trochę czasu...

Nic nie zabraniało Palowi powiedzieć nie, wrócić do Francji, odnaleźć paryski spokój, na nowo ucałować ojca i nigdy więcej go nie opuścić. Wiedział jednak już wtedy w głębi niespokojnej duszy, że nie odmówi. Stawka była zbyt duża. Przebył całą tę drogę, żeby wziąć udział w wojnie, nie mógł więc teraz zrezygnować. Ze ściśniętym żołądkiem i drżącymi dłońmi Pal wrócił do pokoju, w którym go umieszczono. Miał dwa dni, żeby się zastanowić.

Pal zobaczył się z Callandem w Northumberland House dwa

dni później. Widzieli się po raz ostatni. Nie został zaprowadzony do tej samej co poprzednio ponurej sali przesłuchań, ale do przyjemnego, dobrze ogrzanego pokoju z wychodzącymi na ulicę oknami. Na stoliku leżały suche biszkopty i stała herbata, a że Calland na chwilę wyszedł z pokoju, Pal rzucił się na jedzenie. Był głodny, nie jadł prawie nic od dwóch dni, tak bardzo się bowiem niepokoił. Pochłaniał, wciąż i wciąż połykał zachłannie, bez gryzienia. Głos Callanda sprawił, że nerwowo podskoczył.

– Od jak dawna nie jadłeś, mój chłopcze?

Pal nic nie odpowiedział. Calland długo się w niego wpatrywał: chłopak wydał mu się ujmujący, uprzejmy, inteligentny, był zapewne dumą rodziców. Ale miał też cechy dobrego agenta, i to z pewnością go zgubi. Zastanawiał się, po co, u diabła, ten nieszczęsny chłopak dotarł aż tutaj, dlaczego nie został w Paryżu. I jakby chciał odsunąć przeznaczenie, zabrał go do pobliskiej kawiarni, żeby kupić mu sandwicza.

Jedli w milczeniu, siedząc za barem. Potem, zamiast wrócić od razu do Northumberland House, spacerowali ulicami w centrum Londynu. Pal wyrecytował w uniesieniu, bez wyraźnego powodu, poemat, który napisał dla swojego ojca: Londyn to piękne miasto, Anglicy są niezwykle ambitnym narodem. Calland zatrzymał się pośrodku bulwaru i położył mu rękę na ramionach.

– Wyjdziesz stąd – powiedział. – Wracaj do ojca. Bo żaden człowiek nie zasługuje na to, co cię spotka.

– Ale mężczyźni nie uciekają.

– Wyjdziesz stąd, na miłość boską! Wyjdziesz stąd i nigdy nie wracaj!

– Nie mogę... zgadzam się na pana propozycję!

– Jeszcze się zastanów!

– Już zdecydowałem. Ale musi pan wiedzieć, że nigdy nie byłem na wojnie.

– Nauczmy cię... – Lekarz ciężko westchnął. – Czy jednak jesteś świadomy tego, co będziesz musiał zrobić?

– Tak mi się wydaje, proszę pana.

– Nie, nic o tym nie wiesz!

Pal wpatrywał się długo w Callanda. W jego oczach lśniła odwaga synów, przez których ojcowie pogrążają się w rozpacz.



I wtedy właśnie, tej nocy, w dworku, Pal przypominał sobie chwilę, w której zdecydował się wstąpić do sekcji F SOE, gdzie znalazł się dzięki rekomendacji doktora Callanda. SOE, działające pod ogólnym dowództwem angielskim, podzielone było na różne sekcje odpowiedzialne za operacje w okupowanych krajach. Francja miała takich sekcji kilka, z powodu rozbieżności politycznych, a Pala przydzielono do sekcji F, a więc Francuzów niezależnych, którzy nie byli związani ani z de Gaulle'em – sekcja DF, ani z komunistami – Sekcja RF – ani z Bogiem, ani z kimkolwiek. Otrzymał, jako osłonę, odpowiedni stopień i numer ewidencyjny w armii brytyjskiej. Gdyby mu zadawano pytania, wystarczyłoby, że powie, iż pracuje dla Ministerstwa Obrony, w czym nie było niczego nadzwyczajnego, zwłaszcza w tym czasie.

Spędził kilka tygodni w samotności w Londynie, czekając, aż rozpocznie się szkolenie dla przyszłych agentów. Zamknięty w swojej klitce, zastanawiał się na wszystkie sposoby nad podjętą decyzją – zostawił ojca samego, przedkładając nad niego wojnę. „Kogo bardziej kochałeś?”, pytało go sumienie. Wojnę. Nie przestawał zadawać sobie pytania, czy w ogóle ujrzy jeszcze pewnego dnia ojca, którego tak bardzo kochał.

Wszystko zaczęło się tak na dobre na początku listopada niedaleko Guilford, w hrabstwie Surrey. W dworku. Minęły już jakieś dwa tygodnie. Wanborough Manor i jego wzgórze palaczy papierosów o świcie. Pierwszy etap szkolenia kandydatów do SOE.

3

Wanborough było niewielką osadą położoną kilka kilometrów od miasta Guilford, na południe od Londynu. Dojeżdżało się tam wąską drogą wijącą się wśród wzgórz, a na jej końcu znajdowało się kilka kamiennych budowli, z czego niektóre powstały przed kilkoma wiekami i stanowiły wówczas czworaki Wanborough Manor, pradawnej siedziby wzniesionej tysiąc lat temu, która przez stulecia pełniła rolę warowni, opactwa, gospodarstwa rolnego, zanim w największej tajemnicy stała się specjalnym ośrodkiem szkoleniowym SOE.

W ramach szkoleń organizowanych przez SOE kandydatów wysyłano na kilka miesięcy do czterech zakątków Wielkiej Brytanii, do czterech szkół, w których przyszłych agentów uczono sztuki wojennej. W pierwszej z nich, gdzie przebywali przez mniej więcej cztery tygodnie, odbywał się kurs wstępny, była to tak zwana *preliminary school*, a jedna z jej podstawowych funkcji polegała na odrzuceniu kandydatów, którzy w ogóle nie nadawali się do służby. Owe szkoły mieściły się w dworkach rozrzuconych na południu kraju i w Midlands. W Wanborough Manor zostały zlokalizowane między innymi ośrodki treningowe sekcji F. Oficjalnie i na potrzeby dociekliwych mieszkańców Guilford mówiło się o ośrodku szkolenia oddziałów uderzeniowych armii brytyjskiej. Miejsce było piękne, posiadłość

ziemska, teren pełen zieleni z klombami i pagórkami, a dalej las. Główny budynek wznosił się w alei smukłych topoli, a sąsiadowało z nim kilka budynków gospodarczych: ogromna stodoła, a także kamienna kapliczka. Pal i pozostali kursanci zaczęli już się oswajać z tym miejscem.

Selekcja była nieubłagana – w listopadowy zimny dzień zjawilo się ich dwudziestu jeden, a teraz zostało tylko szesnastu, a pośród nich Pal.

Był więc czterdziestopięcioletni Stanislas, najstarszy w grupie, angielski adwokat, mówiący po francusku i zakochany w kulturze francuskiej, ale także były pilot wojskowy.

Był i Aimé, trzydzieści siedem lat, marsylczyk ze śpiewnym akcentem, zawsze niezwykle uprzejmy.

Był też Dentiste, trzydziestosześcioletni dentysta z Rouen, który, gdy biegł, dyszał jak pies.

Był Frank z Lyonu, trzydzieści trzy lata, atletycznie zbudowany, były nauczyciel wychowania fizycznego.

Był dwudziestoośmioletni Grenouille, Żaba, cierpiący na ataki depresji, co jednak nie przeszkodziło mu w tym, by go zwerbowano; przypominał żabę z powodu wielkich wybałuszonych oczu osadzonych w wychudzonej twarzy.

Był Gros, dwadzieścia siedem lat, który miał na imię Alain, ale nazywano go Grosem, Grubasem, bo był po prostu gruby. Mówił, że to z powodu jakiejś choroby, ale jedyną jego chorobą było chyba tylko to, że za dużo jadł.

Był też i Key, dwadzieścia sześć lat, przybyły z Bordeaux, wielki, silny i charyzmatyczny rudzielec, z podwójnym obywatelstwem, francuskim i brytyjskim.

Był Faron, dwadzieścia sześć lat, wzbudzający lęk kolos, potężna masa mięśni, jakby stworzony do walki, służył zresztą

już wcześniej w armii francuskiej.

Był Slaz-le-porc, dwadzieścia cztery lata, Francuz z regionu Nord, polskiego pochodzenia, krępy i ruchliwy, z przebiegłym wzrokiem, o dziwnie smagłej cerze, jego nos przypominał świński ryjek.

Był i Prunier, jąkała, dwadzieścia cztery lata, który nigdy się nie odzywał, bo język za bardzo mu się płątał.

Był też Chou-Fleur, Kalafior, dwadzieścia trzy lata, który zawdzięczał przezwisko olbrzymim odstającym uszom i zbyt wysokiemu czołu.

Była dwudziestodwuletnia Laura, blondynka o błyszczących oczach i uroczym usposobieniu, pochodząca z jednej z eleganckich dzielnic Londynu.

Byli też Grand Didier i Max, obaj mieli po dwadzieścia jeden lat, bez specjalnych zdolności bojowych, którzy przybyli razem z Aix-en-Provence.

Był Claude, wikary, miał dziewiętnaście lat, najmłodszy wśród nich, łagodny jak dziewczyna, który opuścił seminarium, żeby walczyć.

Pierwsze dni były najcięższe, gdyż każdy z kandydatów nie wyobrażał sobie wcześniej, że szkolenie będzie tak trudne. Zbyt wielki wysiłek i zbyt duże osamotnienie. Kursantów budzono o świcie; pośpiesznie się ubierali w lodowatych pokojach, ze ściśniętym ze strachu żołądkiem, po czym natychmiast biegli na poranne zajęcia z walki wręcz. Potem mieli prawo zjeść śniadanie, i to obfite, bo nie racjonowano im żywności. Później było trochę teorii, alfabet Morse'a albo łączność radiowa, po czym znowu wycieńczająca zaprawa fizyczna: bieg, różne ćwiczenia gimnastyczne, po raz kolejny walka wręcz, gwałtowne starcia, gdzie jedyną zasadą było to, że nie było żadnych zasad, aby

pokonać przeciwnika. Kandydaci na agentów rzucali się jeden na drugiego, wyjąc, zadając bez opamiętania ciosy; czasami gryźli, żeby wyrwać się ze zwarcia z przeciwnikiem. Ran mieli co niemiara, ale wszystkie były na szczęście niegroźne. I tak właśnie, z kilkoma przerwami, wyglądał ich dzień, a gdy już miał się ku końcowi, późnym popołudniem zaczynały się zajęcia bardziej techniczne, podczas których instruktorzy uczyli kursantów stosowania prostych, ale skutecznych chwytów, jak na przykład obezwładniania gołymi rękami przeciwnika uzbrojonego w pistolet lub nóż. A potem wycieńczeni kursanci mogli wreszcie wziąć prysznic przed podawaną wcześniej kolacją.

Na początku w jadalni w dworku pochłaniali jedzenie w milczeniu, tak jak jedzą ludzie wygłodzeni, żarli więc, co oznaczało jedzenie bez słowa, siedzenie przy jednym stole, bez zwracania na siebie uwagi, jak zwierzęta; *fressen*, jak mawiają Niemcy. Po czym w samotności, skrajnie wyczerpani, niespokojni, że nie wytrzymają tego dłużej, szli zwalić się na łóżko w sypialni. Dopiero tam zaczęli stopniowo się poznawać i ujawniły się pierwsze podobieństwa między nimi. Gdy już trzeba było kłaść się spać, pozwalali sobie na odrobinę żartów, opowiadali jakieś kawały, przeżywali na nowo minione dni, żeby choć trochę oswoić się z ich wspomnieniem. Czasami dzielili się swoimi lękami, strachem przed przyszłą walką, ale wstydziło się mówić o tym za wiele. W ten sposób Pal szybko nawiązał przyjazne relacje z Keyem, Grosem i Claude'em, z którymi dzielił pokój. Gros rozdał kolegom masę biszkoptów i angielskiej kiełbasy, które przywiózł w torbie, a chrupiąc biszkopty i krojąc kiełbasę, długo rozmawiali, aż w końcu zmorzył ich sen.

Po wieczornym posiłku w mesie siadali do długiej gry w karty; o świcie zaczęli spotykać się na wzgórzu, aby zapalić

papierosa i dodać sobie odwagi. I bardzo szybko wszyscy kursanci poznali się nawzajem.

W sekcji F Key, mocny i obdarzony silnym charakterem, stał się jednym z pierwszych i prawdziwych przyjaciół Pala. Emanowała z niego pełna spokoju i kojąca moc.

Marsylczyk Aimé, wynalazca namiastki gry w bule, które zastąpił okrągłymi kamieniami, tęsknił za synem i często powtarzał Palowi, że mu go przypomina. Mówił mu o tym prawie każdego ranka, tam, na wzgórzu, jakby zawodziła go pamięć.

– To skąd ty właściwie jesteś, mój mały?

– Z Paryża.

– Faktycznie... Paryż. Piękne miasto, Paryż. A znasz Marsylię?

– Nie, nie miałem okazji tam pojechać, to znaczy nie byłem tam od wczoraj.

Zawsze rozśmieszało to Aimégo.

– Powtarzam się, prawda? Bo zawsze, jak cię widzę, od razu myślę o moim synu.

Key mówił, że syn Aimégo nie żyje, ale nikt nie miał odwagi go o to zapytać.

Grenouille i Stanislas często odłączali się od reszty, żeby zagrać w szachy na rzeźbionej, drewnianej szachownicy, którą przywłókł ze sobą w bagażu Stanislas. Grenouille, świetny szachista, wygrywał większość partii, a wtedy Stanislas denerwował się, bo nie znośił przegrywać.

– Cholerne szachy! – darł się, rzucając pionkami po pokoju.

Zawsze odpowiadał mu śmiech pozostałych, a Słaz, bezczelny, wydierał się do Stanislasa, że jest już za stary i że już nie ta głowa, a na to Stanislas obiecywał spuścić mu manto, co jednak nigdy nie następowało. W takich chwilach Gros biegł za

Stanislasem i zbierał leżące na podłodze pionki i figury.

– Nie pozwolę zniszczyć twoich pięknych szachów, Stan – powtarzał Gros, który troszczył się o wszystkich kolegów.

Gros był z pewnością najbardziej ujmującym z kursantów, pełnym dobrych intencji, które jednak czasami zmieniały się w irytującą wszystkich obsesję. Na przykład, żeby dodać odwagi kolegom podczas porannej rozgrzewki, kiedy stali na zewnątrz przed dworkiem w wilgotnej, lodowatej mgłę, wyśpiewywał na całe gardło okropną piosenkę dla dzieci: *Rougnagni tes ragnagna*. Po czym podskakiwał wysoko, już spocony, z trudem łapiąc oddech, i klepał mocno po plecach ledwo co obudzonych kolegów, przepętniony przyjazną czułością: *Rougnagni tes ragnagna, choubi choubi choubidouda*. Dostawał wtedy często po głowie, ale na koniec dnia, pod prysznicem, koledzy ze zdziwieniem stwierdzali, że sami podśpiewują ten jego refren.

Z kolei potężny niczym kolos Faron zapewniał, że nigdy nie jest zmęczony po ćwiczeniach. Zdarzało mu się nawet biegać samemu, żeby jeszcze bardziej wzmocnić mięśnie, a każdego wieczoru podciągał się na belce w stodole i robił jeszcze pompki w sypialni. Którejś bezsennej nocy Pal zobaczył go w jadalni, gdzie wciąż ćwiczył jak oszalały.

Młody Claude, który wcześniej miał zostać księdzem, zanim zmienił zdanie i niemal przez przypadek zgłosił się do brytyjskich służb specjalnych, był wręcz chorobliwie uprzejmy, co sugerowało, że nie nadaje się na żołnierza. Każdego wieczoru modlił się, klęcząc przed łóżkiem, obojętny na niezliczone kpiny pod jego adresem. Mówił, że modli się dla siebie, ale modlił się przede wszystkim za nich, za swoich kolegów. Proponował im czasami, żeby pomodlili się razem z nim, ale ponieważ wszyscy mu odmawiali, zniknął i chował się w malutkiej kapliczce z

kamienia wzniesionej na terenie posiadłości, gdzie tłumaczył Bogu, że koledzy nie są złymi ludźmi i że na pewno mają tysiące słuszných powodów, dla których nie chcą się modlić. Claude był jeszcze bardzo młody, a z wyglądu wydawał się jeszcze młodszy; był średniego wzrostu, bardzo szczupły, bez zarostu, z krótko przyszczyżonymi ciemnymi włosami i z krótkim spłaszczonym nosem. Wzrok wciąż mu gdzieś uciekał, w jego oczach można było wyczytać wielką nieśmiałość i czasami, kiedy w jadalni próbował przyłączyć się do żywo dyskutującej grupy, pochylał się, czując się niepewnie i niezręcznie, tak jakby chciał stać się bardziej niewidoczny. Palowi często było żal tej wątej postaci, więc któregoś dnia poszedł razem z nim do kapliczki. Gros, niczym wierny pies, podążał z tyłu, podśpiewując, licząc gwiazdy i żując kawałek drewna, żeby oszukać głód.

– Dlaczego nigdy nie przychodzisz się pomodlić? – zapytał Claude.

– Bo źle się modlę – odpowiedział.

– Nie można modlić się źle, jeśli ma się w sobie żarliwą wiarę.

– Ale ja nie potrafię modlić się żarliwie.

– Dlaczego?

– Bo nie wierzę w Boga.

Claude próbował ukryć zdziwienie, ale przede wszystkim czuł się skrępowany wobec Boga.

– W co zatem wierzysz?

– Wierzę w nas, którzy tutaj jesteśmy. Wierzę w Ludzi.

– Ba, Ludzie już nie istnieją. Dlatego właśnie tutaj jestem.

Nastała chwila krępującej ciszy, każdy z nich potępił religię drugiego, po czym Claude wyrzucił wreszcie z siebie oburzenie:

– Nie możesz nie wierzyć w Boga!

– A ty nie możesz już nie wierzyć w Ludzi!